

Spazmy, świsty, jęki

W dzieciństwie te zjawiska wywoływane ruchem potencjometru traktowałem jako fascynujące świadectwo bogactwa świata, dużo ciekawszego i barwniejszego, ale też bardziej tajemniczego niż szary i zapyziały PRL. Nie znajduję innej obrazowej analogii dla skrótowego ujęcia istoty poetyckiego eksperymentu, którym jest „Naworadiowa”, najnowszy tom wierszy Kacpra Bartczaka, łódzkiego amerykanisty, krytyka literackiego i uznanego twórcy liryki. To poezja językowo niezwykle radykalna, balansująca na granicy komunikacji, przez to jakoś brutalnie skupiona na sobie, odwrócona od odbiorcy – i jednocześnie porywająco ekstatyczna.

Nie pierwszy raz Bartczak kreuje w swoich wierszach bohatera, który dostrzega nieprzekraczalnie i nieodwoływalnie opresyjny charakter naszego świata: powierzchownych, zdehumanizowanych kontaktów, kultu efektu, efektywności i zysku, tępej fascynacji technologicznym postępem ograniczającym wolność i wybór, medialnej manipulacji i prymitywizmu przekazu. Rzeczywistość bohaterowi Bartczaka doskwiera, zgryźliwie ją komentuje, przygaduje jej, przedrzeźnia ją i z niej kpi. Nie godzi się z nią, bo jeszcze zdaje się wierzyć w to i owo (celowo piszę tak oględnie, gdyż sam bohater nie jest w stanie, dziecie swojego wieku, precyzyjnie się dookreślić), jeszcze ma w pamięci – jak powiedziałby Herbert – „dawne zaklęcia ludzkości”, atrakcyjnie błyszczące, ale puste w środku jak bombki. I ta idea, która stoi za wierszami „Naworadiowej”, ta obsesja poety wydaje mi się mniej ciekawa niż ekstremalny wymiar językowego eksperymentu, który jest niezwykle oryginalny, choć słyhać przecież w tle (nic to złego) Mirona Białoszewskiego, Tymoteusza Karpowicza, zapewne i Krystynę Miłobędzką, ale też niemal rówieśników: neolingwistów warszawskich. Wszyscy oni w różnym natężeniu i z różnymi pomysłami przyszli do Bartczakowego „radia”, zmieścili się na jego skali. Zdecydowanie mniej jako wynalazcy słów, bardziej – jako kompozytorzy dźwiękowego wymiaru poezji. Wiersze Bartczaka są pozornie melodyjne (te współbrzmienia, aliteracje, szukanie rytmu!), a w istocie kakofoniczne, rozwichrzone, wręcz spazmatyczne. Wszystko tu dzieje się naraz, wszystko w nadmiarze, w galopadzie paradoksów i niezwykle zestawień, skojarzeń, pozornych związków. Tak żyjemy – zdaje się mówić artysta, tak toniemy w dźwiękach, myślach, opowieściach: zawsze urwanych, często trywialnych. Pierwszych kilkanaście stron tomu to poważne ćwiczenie dla czytelnika, zwłaszcza bardziej tradycyjnego, poszukującego w poezji wzruszeń, lirycznych refleksji i wyznań czy ciekawych obrazów. Obawiam się, że nie zrozumie i porzuci lekturę, nie doczekawszy tego, co dalej: obniżenia napięcia, większej komunikatywności rozumianej jako czytelna anegdotyczność. Początek innego języka w najnowszym tomie Bartczaka nie jest zachęcający. To zanurzony w łódzkich realiach wiersz „Wycieczka do obozu dla dzieci” – równie szlachetny w przekazie, co oczywisty i przez to banalny.

Tomasz Cieślak

- -

Cała recenzja do przeczytania w "Kalejdoskopie" 01/20. Do kupienia w Łódzkim Domu Kultury, punktach Ruchu S.A., Kolportera, Garmond-Press w salonach empik i łódzkiej Księgarni Ossolineum (Piotrkowska 181). A także w prenumeracie (w opcji darmowa dostawa do wybranego kiosku Ruchu): [TUTAJ](#)

Możecie też słuchać naszych najlepszych tekstów w interpretacjach aktorów scen łódzkich, z Łodzią i regionem związanych na platformie "Kalejdoskop NaGłos": [TUTAJ](#)